

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju i przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne 1 1/2 kr. i za ciągłe 10 kr. stała, za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w targarai H. W. Kallenbacha.

DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczna

przez

Władysława Kaczmareckiego.

V.

(Ciąg dalszy).

Odtąd Edmund zaczął bywać dość często u tychże swoich sąsiadów. Przez ten czas starego archiwisty najczęściej nie było w domu. Musiał on chodzić uniewinniać się z rzuconych na niego podejrzeń, starać się o protekcję i względy, ażeby mu nie odebrano emerytury. — Pani Sieniawska choć była w domu, nie zawsze mogła albo może nie chciała pilnować młodej pary, która dziwnie pięknie wyglądała w jej oczach. — I tak Edmund mógł nieraz długie godziny przesiadywać sam na sam z Hanią pod owym drzewem wielkiem w ogrodzie, którego liście żadnem dla niego ale najpiękniejszym dla niej szumiały wspomnieniem.

Godziny te miały wielki urok dla Hani. Srodze zboleła i osmucona po stracie tego, dla którego wyrobiła w sobie miłość głęboką i wiekuiącą, i który stał się dla niej wszystkim na świecie, nie widząca żadnej przed sobą nadziei i nie mogąca się nawet wypowiedzieć przed nikim z swych cierpień i smutków, znachodziła ona niezmiernie wiele pociechy i ulgi dla siebie w każdym słowie przyjaciela swojego kochanka. Tę pociechę był-by jej wprawdzie przyniósł każdy, który znał niegdy Kamila i chciał-by był z nią o czemkolwiek rozmawiać. Bo młode serce nie potrzebuje wiele, a w młodej głowie bywa dziwnie bujna i wszechmocna fantazya. Ale z innych znajomych żaden tu nie przychodził, więc ten stał się jej spowiednikiem i pocieszycielem i po Kamilu on najbliższy do jej serca przystąpił.

Wszakże też same godziny miały dla Edmunda daleko więcej uroku, niż dla niej. Nie można tego powiedzieć, ażeby się w jego sercu zrodziła już była podtenczas miłość dla tej pięknej dziewczynki, która niechęcią takim blaskiem olśniła pałacową biesiadę, i nie trzeba podejrzawać Edmunda, ażeby się w jego krwi rozżarzyła namietność ku przeslicznym formom jej ciała, zachwycenie jej płcią delikatną, lub żądza jej ust cudownych, wiśniową świeżością promieniejących; — uczucia bowiem i myśli, które odwładnęły jego duszę i serce, były wcale innego rodzaju.

Edmund nie znał kobiet zupełnie, poznał on z nich tylko niektóre, szumiące najgłośniejszym i szumowinom podobne. Edmund nie znał także miłości. Wszedł on wpraw-

dzie do tej pięknej i wspaniałej świątyni; ale nie widział on tej cudownej, dla serca ludzkiego zbudowanej bazyliki zdaleka; nie klęczał ze złożonymi rękami i z modlitwą na ustach w tym ogrodzie z róż i lilij złożonym, który otacza jej wejście; nie chylił kornie głowy pod jej gotyckimi łukami, wyobrażającemi wianiem swem skamieniała, wiekuiącą harmonią; nie stał pod jej chórem wyniosłym, grającym hymn wielki, złożony z grzmotu piorunów i śpiewu ptaszątek, z dźwięku harf Dawidowych i echa fletni pasterskiej; nie podniósł głowy swej, aby spojrzeć w ową kopułę krystalową, przez którą widać błękit żywego nieba i rękę bożą, błogosławiącą dwa serca na wieki ze sobą spojone. — Ale wszedł on do tej świątyni tajemnymi drzwiczkami i spuścił się od razu do jej piwnicy i lochów. Edmund xięgi miłości zaczął czytać od końca. Tak nam się nowsi pedagogowie każą uczyć historii. Żeby ta metoda dobrą była w historii, niedowiedziano jeszcze praktycznie, ale dowiedzionem jest to, że jest najgorsza w miłości. Odziera ona bowiem serce ludzkie już wcześniej z najpiękniejszego kwiecia, pożera w kilku latach to ciepło, którego stwórca tam włożył tyle, że powinno każdemu wystarczać do grobu, i wysuszywszy na koniec aż do dna samego tę niezgłębioną krynicę, zamienia ją w jamę chłodną i ciemną, którą zamieszkują gorycz, nuda i przesylenie.

Jakoż Edmund, lubo jeszcze tak młody, wstąpił już był na tę drogę za przykładami, których niestety! tyle miał przed oczyma. Krok ten nie był jeszcze wprawdzie stanowczym i niecofnionym, nie wyczerpał jeszcze sił jego serca, może ich nawet jeszcze i nienadużył, ale jednakże zawczasem rozżarzył w nim pożerające płomienie i jego uczucia zepchnął z drogi przez naturę wytkniętej, pokalał je i obrudził, i uczynił pomiędzy nimi wielkie chaos i zamieszanie.

Tak nieświadomy zupełnie samego siebie, patrzący raz na kobiety okiem rozpusty, inny raz przeczuwający pomimo woli jakieś wyższe a nieznane sobie uczucia, zbliżył on się do Hani. I gdyby w niej zastał dziewczynę zwyczajną, oglądającą siebie co chwila w zwierciadle i wyglądającą przez okno ładnego i bogatego zalotnika, który-by jej się podobał, kochał się w niej i potem ją zaprowadził przed ołtarz: to zdaje się, że była-by się ta znajomość skończyła tak samo, jak jego wszystkie dotychczasowe, z tą tylko różnicą, że jej dalsze sceny nie były-by się od-

bywały w pałacowej komnacie, wśród hucznych orgij, przy brzęku kielichów i śmiechach rozgłosnych, ale-by były dla siebie znalazły jakiś jawor szumiący lub lipe, wybierały noc nieżycową, pełną woni kwitnących róż i pełną śpiewu słowików... Ale Hania była wcale inną istotą. Tę jej różnicę od innych kobiet, dotychczas sobie zbliżających przeczuli Edmund instynktem, i już w pierwszym zbliżeniu się do niej zmienił dotychczasową swoją manierę, chociaż może sam nie wiedział, dla czego to czyni. Ta nowość zajęła jego uwagę. — Edmund myślał nad Hanią, — lecz zrazu nie dostrzegł w niej niczego innego, prócz jakiejś nowości. Nie wiedział nawet jeszcze natenczas, na czym właściwie zależała ta nowość, lecz czuł, że jest w niej coś, co mu imponuje i co go upokarza cokolwiek. To uczucie chciał on zabić rozumem i chciał śmiać się ze siebie, ale śmiech jego zamilkł przed sercem i serce zwyciężyło tu rozum. Następne z Hanią rozmowy zaprowadziły go dalej na tej drodze. — Już z każdym dniem poczęły mu się po kolei uwidniać pojedyncze Hani przymioty, — aż na koniec zaczęły się w jego wyobraźni rysować kontury jej wewnętrznej istoty.

Było to studium nadzwyczaj proste, lecz przytem tak piękne i zajmujące, że Edmund całą swoją wyteżył uwagę, wzrok swój zatapiał w jej oczy błękitne, chwycił łakomie każde jej słowo i każde westchnienie, i przez ten czas nawet przeciwko swojej szczególniejszej namiętności ku książkom, zarzucił wszelkie czytanie; bo widział, że niczem są najpiękniejsze miejsca z najwyborniejszej książki w porównaniu z tem, co można wyczytać w pięknym sercu niewinnego dziewczęcia.

Tymczasem postać tej zajmującej go coraz bardziej istoty rysowała mu się coraz widomiej przed wyobraźnią i podobiznę swoją odbijała powoli na jego duszy. Więc widział on najpierw tylko piękny kwiat samorodny, świetniejący jakimś dziwnie niewinnymi barwami, oświetlony promieniem słońca, polewany rosą niebieską, stojący lodygą na ziemi lecz oczyma obrócony ku niebu, — ale w tym kwiecie zdawało mu się nie być serca ni ducha. Potem pomалу zamienił mu się ten kwiat w istotę żyjącą i do kwiatu tylko niewinnością barw swoich podobną. Lecz następnie poczęły się rozjaśniać i coraz więcej uwidniać te barwy.

I ujrzał on najpierw ową prostotę i dziewiczość ludzkiego serca, z której sztydzi gwarliwy świat rozumowych maszynek i którą filozofia pogardza... i widział ją czystą, jak źródło wód kształtowych i głębszą, niżeli wszystkie jamy ludzkim wykopane rozumem.

I ujrzał czyste, prosto ze swego źródła lyskające uczucie, skromne i spokojne jak wody stojącej zwierciadło, przezroczyste jak wiosenne powietrze, a przytem tak wzniosłe i wielkie, że jego szczytów napróżno usiłują dosięgnąć nawet najszańsze zapaly.

I ujrzał ową religijność głęboką, wielką w swej świętej pokerze, opierającą się z dziecięcą ufnością o wieczność, obejmującą świat cały miłością, skromną w szczęściu, wytrwałą i wierzącą w nieszczęściu i gotową w każdej chwili życiem zasłonić serce od zmaży i sumienie od grzechu.

I te barwy poczęły się w jego wyobraźni łączyć ze sobą i zlewać w formy widome, wyobrażające piękną postać dziewczęcy. Ta dziewczęca patrzyła na niego żywymi oczyma i przemawiała słowami, a jej słowa odsłaniały mu świat jakiś dziwnie uroczy i piękny, krainę wiecznej wiosny i słońca, nad którą gdzieś wysoko szumiały burze, lecz jej nie tykały, uderzały pioruny lecz daleko poza nią, istny raj jakiś na ziemi, o którym nie tylko nie miał żadnego pojęcia, ale którego mu nawet ani razu nie przyniosły jego tak nieraz bujne i także może piękne marzenia.

A to wszystko zdawało się być tak blisko niego, tuż pod ręką, może nawet w nim samym, — i to wszystko nie było żadną filozofią ani zbyt wyszukaną mądrością, ani nawet trudną do pojęcia teorią, — więc coraz więcej zajmowały te rzeczy Edmunda. Zajęty niemi zarzucił on swoje znajomości, stał się skromnym i mało mówiącym, uciszył w sobie swoje namiętności, niektórych się nawet zawstydził i zaczął wiele i bardzo zdrowo rozmyślać nad sobą. I kto wie, jak daleko był-by on zaszedł niebawem, wstąpiwszy raz na tę drogę, kto wie, jak prędko przy tem świetle był-by on znalazł rozwiązanie owej ciemnej zagadki o swoim szczytnem posłannictwie na ziemi, którego z takim mozolem szukał przy latarni, oświeconej dumą rodową i chorowitą ambicyą, — gdyby nie to, że jakoś my wszyscy tak nieszczęśliwie utworzeni jesteśmy, że walcząc duchem i sercem, niezmiennie wiele mieć musimy do czynienia z materią a pomimo wielmożności naszego ducha, tak tej materii podlegli, że nieraz jakiś drobny przypadek, jakaś zaledwie uwagi godna okoliczność strąca nas z naszych tak możolnie wyniesionych rusztowań i najwynioślejsze tummy przez nas stworzone wali w oka mgnieniu, druzgoce i powala na ziemię.

Taka drobna okoliczność stanęła niestety! i Edmundo wi na jego nowej drodze. Rzecz zresztą bardzo prosta i naturalna. Albowiem kiedy z jego coraz żywszem zajmowaniem się prostotą serca niewinnej Hani, i jego odwidziny stały się coraz częstszymi w ubogim domku sąsiadów, — zwróciło to baczną uwagę obojga starych Sieniawskich.

Matka Hani różnie o tem myślała, lecz zawsze tylko jak matka, mająca ładną córeczkę, a zarazem to przekonanie, że nie masz tak wysoko postawionego młodzieńca, któren-by nie mógł zostać jej mężem. Śniły jej się nieraz w prostocie jej serca xiążęta i inni magnaci, dla czegoż-by nie miał także przyśnić się jej Edmund, któren nie był ani magnatem ani xiążęciem. I nic nie mówiła na to wszystko pani Sieniawska. Lecz pan Dominik, który był

ciagle w złym bardzo humorze, obaczywszy parę razy tych dwoje dzieci, siedzących ze sobą na kanapce pod drzewem, bardzo sobie w tem nie podobał. Nie mówił on nic jeszcze natenczas, bo miał jeszcze wiele do czynienia ze samym sobą. Po kilka godzin codziennie przepędzał za domem, chodził po biorach, szukał protekcyi u dawnych swych przełożonych, szukał pomocy i rady u dawnych swoich przyjaciół. A kiedy powrócił do siebie, zamykał się w swoim pokoju i układał plany czynności i zabiegów na jutro. Lecz nakoniec jego nieszczęścia wzięły koniec szczęśliwy. Wszystko się załatwiło po myśli i panu Dominikowi uśmiechnęła się znowu nadzieja tego dawnego szczęścia, które na niczem nie zależało, jak tylko na skromnym kawałku chleba i niezamąconym spokoju. Tę nadzieję postanowił on ziszcć koniecznie; a przestraszony niedawno co zaszłym wypadkiem, — i widząc ztąd potrzebę odsunięcia od siebie wszelkiej lekkomyślnej młodzieży, jeszcze bardziej się chmurzył na te częste odwiedziny Edmunda. Raz obaczywszy go tuż siedzącego przy Hani i prowadzącego z nią bardzo ożywioną rozmowę, tak się rozgniewał, że zawoławszy żonę do siebie, sfukał ją z wielką nawet grzecznością, lecz zato z wielką energią, że takiego pędziwiatra i swawolnika tak blisko przypuszcza do Hani. Wywiązała się ztąd długa pomiędzy małżonkami dysputa, w której pani Sieniawska, obalamucona niedawną powolnością swojego męża, nieumiała się wcale oprzeć jego teraźniejszej arbitralności, — i zapewne upadła. Następnego dnia bowiem nie radząc się wcale małżonki, przeszedł pan Dominik prosto od myśli do czynu.

Działo się to przed samym wieczorem. Stał on właśnie w otwartym oknie, i pociągając dymek niebieski z swojej ulubionej fajeczki, patrzył bezwiednie na dachy pałacu, kiedy w furtce przed domem pokazał się Edmund. Hania podtenczas siedziała z robotką w ręku w ogrodzie, więc obaczywszy ją, jej tylko szukający młodzieniec, puścił się prędkiem krokiem wprost ku niej. Ale pan Sieniawski zebrawszy się energicznie, postanowił nie dać mu tą razą nawet przywitać swej córki, i zawołał głośno:

— Hej, hej, mospanie! a dokąd?

Na tak niespodziane zagadnienie, Edmund stanął w miejscu jak wryty. Przeczuł on w oka mgnieniu całe swe położenie i całą ważność tej chwili, i uczuł się pomięszanym i zbitym, i to nawet tak bardzo, że nie wiedział, co odpowiedzieć. A w tem Sieniawski dodał:

— A proszę tu do mnie, na słówko.

Ten drugi frazes zmieszał jeszcze bardziej Edmunda. Czuł on, że wcale nie miał nic do mówienia z Sieniawskim, i chciał już z miejsca prosto powrócić do siebie, ale nie mógł jakoś zdecydować się na to, i posunął wolnym krokiem ku gankowi. Przeciwno niemu wyszedł ku drzwiom

Sieniawski, sam drzwi od izby otworzył, a jak tylko je przymknął, odchrząknął potężnie i tak się odezwał:

— Proszę pana, pan tu przychodzisz tak często do mego domu.... a po co pan tu przychodzisz?

— Po co? — zapytał Edmund zdziwiony, — przyznam się panu, że to dosyć szczególne pytanie.

— Czy szczególne, czy nie, to nie wiem, ale wiem, że potrzebne. Bo pan tu przychodzisz i bałamucisz mi córkę. Jeżeli panu pieniędzy zabrakło na zakupywanie aktorek i wyprawianie dla nich bankietów i myślisz pan, że...

— Mój panie! — zawołał na to Edmund, nabiegając krwią cały, — nie mów pan dzieciństwa, bo ja nie zgola nie myślę!

— Już czy pan myślisz, czy nie, — odpowiedział Sieniawski śmiało i poczuwając się jak najzupełniej w swem prawie, — proszę pana bardzo uwolnić mnie nadal od swoich wizyt.

Na to Edmund nie miał co odpowiedzieć. Krew tylko się w nim zburzyła gwałtownie, oczy zaiskrzyły się oburzeniem i gniewem, zacisnęły się pięście, a z ust zesiniaty, drżących wyleciało słowo obelżywe:

— Blazen!

Słowo to spadło tak niespodziewanie, jak piorun na siwą głowę starca, lecz tymczasem wzburzony do gruntu młodzieniec, drzwiami trzasnął i wyszedł z pokoju.

Tego wieczora jeszcze był wielki bankiet w pałacu Edmunda. Turkot powozów i karet nappełnił niezwycajnym hałasem całą wyższą część Sieniawszczyzny, muzyka grała najszaleńsze tańce wewnątrz pałacu, a buchające światło z otwartych okien i wesołe biesiadników okrzyki, nie dały długo w noc zasnąć powarżonym mieszkańcom dworku starego archiwisty.

VII.

Przenosimy się w okolicę dziwnie piękną i uroczą. Stajemy na miejscu takim, z którego oko nasze obejmuje widnokrąg wielki i szeroki. Za nami rostaczają się ogromne, nieskończone równiny, pokryte żywą, mieniącą się do słońca zielenią: na niej widać porozrzucane wioski, zaledwie dojrzane zdaleka, widać gromady lasów dębowych, to snujące się długimi pasami po nad brzegi pastwisk ogromnych, to zbiegające się w grupy okragłe, gęste, szarzejące jeszcze bez liścia, jak wielkie palmy na zielonym kobiercu. Widok ten przerzyna niebieską wstęgą jakaś wielka rzeka, obrabiona bujnemi splotami różnego krzewia, jak gdyby ujęta w dwa wały, usypane z natury. Nad jej brzegami widać tutaj nieprzejrane okiem moczary, szumiące wikliną i szuwarami. Tam podnoszą się na wysokiej górze mury jakiegoś starego zamczyska, dalej widać step szarzejący w mgłach niebieskawych a na jego końcu rysują się niewyraźnie dwie wielkie mogiły bez krzyżów, które z mgłami, posuwającemi się ku wschodowi, zdają się uciekać i ginąć.

Przed nami podnosi się ziemia dosyć stromo do góry. Po obydwóch stronach coraz więcej wiosek i lasów. Wioski kryją się w jarach, lub wiszą przy boku gór swojemi dymnemi chatkami i wyglądają jak gniazd jaskółczych szeregi. Zwieszają się nad niemi to zielone to ciemnobrunatne lasy, z których gdzieniegdzie wygląda czarna olbrzymia skała, obwieszona wieńcami krzewin i bluszczów dzikich, jak głowa ducha leśnego, wyglądająca z pod ziemi. Nie masz mogił, lecz za to na pagórkach pomiędzy ogromnemi drzewami siedzą pochylone, baniaste cerkiewki z podwójnemi krzyżami na okrągłych wieżyczkach. Gdzieniegdzie krzyż widać samotny, bielejący do słońca na dnie ciemnozielonem, tam kamienną figurę pomiędzy kopcami, a w innem miejscu dwa lub trzy krzyże razem, tak jak gdyby się z różnych miejsc pozbiegały i coś szeptały ze sobą. Dalej podnosi się ziemia wciąż coraz wyżej i wyżej, lasy coraz gęściejsze i ciemniejsze, powietrze coraz surowsze, skały coraz szpiczastsze, wioski coraz uboższe i mniejsze. A nad tem wszystkiem sinieją w obłokach szczyty gór niebotycznych, to garbiące się ku nam zielonemi falami, to srebrzące się w słońcu i patrząc w nieba błękitne, to odwrócone od nas i pochylające się ku południowi, jak gdyby przejrzyć chciały całą tam rozściągniętą krainę i odkryć zarośnięte szlaki Atyli i światoburzców.

Nie wiemy dobrze, gdzie w tej chwili jesteśmy, nie możemy oznaczyć dokładnie, dokąd nas pociągnął za sobą los osób, które się z życia przeniosły w naszą wyobraźnię. Ale dosyć nam raz rzucić okiem po tej całej krainie, dosyć obejrzeć barwę i rodzaj lasów, dosyć przypatrzeć się tej bujnej roślinności, w której nawet pokrzywy i chwasty wyrastają w olbrzymy, dosyć oglądać się na ową rzekę wspinałą, płynącą na wschód słońca ku południowi, dosyć usłyszeć piosnkę wybiegającą ku nam z pomiędzy lasów, a tak smutną i tęskną, jak łza padająca na kamień grobowy, — ażeby się domysleć, że jesteśmy gdzieś daleko za Dniestrem w ziemi Ruskiej, klęczącej pod ciężarem smutnej terazniejszości i przeczuwającej już tylko swą przeszłość zamierzłą, w ziemi dawnych najazdów Tatarskich, w ziemi pożóg, łupieży i mordów, płaczącej do dziś dnia swych chat popalonych, porabowanych dobytków i swoich dzieci, pomarłych i pomęczonych w bisurmańskim jassyrze.

Działo się to w drugiej połowie Maja. Była chwila pogodna i jasna, dopiero co deszcz przekropił rześisty i ożywił spragnioną ziemię, napoił trawy, zboża i krzewy, i orzeźwił powietrze, że się stało tak czerstwem, jak źródło wody, wytryskającej ze skały, i wonnem jak balsamiczny oddech rozkwitającego ogrodu. Małe chmurki porozbiegały się tu i ówdzie po niebie i płynęły jak srebrne okręty po szafirowem morzu. Słońce jasne, żywe, południowe, rzuciło tak czarujący blask na całą krainę, że rostoczone jej wdzięki zdawały się porywać duszę ludzką w pieszczotliwe uściski, ażeby ją nigdy już z nich nie wypuścić. I tylko

wierzchołki gór oddalonych owinęły swe głowy w mgły szare, nasrożyły swe twarze, i dymiąc czarnemi grzbietami udawały, że się gniewają na blakających się pomiędzy nie z licznemi trzodami Huculów.

Pomiędzy bujne zarośla i zieleniące się trawą majową pastwiska, wila się prosto ku góróm wąska i mało co ujeżdżona drożyna. Po tej drożynie postępował krokiem wolnym i coraz wolniejszym jakiś młodzieńcy podróżny. Był on nie wykwiśnie wprawdzie, ale wcale nie po wiejsku ubrany. Cały strój jego znamionował niewątpliwie wiejskiego mieszkańca; lecz z sukien dawno już nieczyszczonych i koszuli, bardzo zmiętej na piersiach i zabrudzonej, widać było, że już od kilku dni się musi znajdować w podróży. Na twarzy jego, bardzo pięknej i młodej, lecz strasznie wybladłej, malowało się umęczenie, zgryzota, a czasem i trwoga. Szedł on prosto ku góróm; i to zamyślając się chwilami z oczyma opuszczonemi ku ziemi, to oglądając się po za siebie, co kilkaset kroków przystawał, a stanąwszy, zawsze wpatrywał się w jakąś wioskę, pod jedną z gór wyższych rozścieloną, na której końcu widać było wielki ogród owocowy, kupkę zabudowań gospodarskich pod strzechą, i dworek biały niewielki pod gontem, otoczony kilką drzew starych, pomiędzy któremi jedno było poobcinane z gałęzi i mieściło na sobie koło wozowe, przygotowane na gniazdo dla gościa bociana. (D. c. n.)

KSIĄDZ JACEK.

Gawęda klasztorna.

(Dokończenie)

A Jacek nie wierzy, choć widzi oczyma,
Myśli, czy znów może diabeł go nie mami.
Lecz nie! organista leży wykapany,
Głos, korpus, postawa, jego! jak organy!
A owoż panienka w czerwonej katance,
Co widmo jej ujrzał w ogrodzie w altance,
Podobna do Jonka, syna organisty.
Ksiądz Jacek uwierzył prawdzie oczywistej.
I wnet był już pewnym, gdy podniósł pochodnię.
Ksiądz Jacek się pomści! Nie! owszem łagodnie
Rzekł: „Ja wam przebaczam, lecz Bóg czy przebaczy?
Wwiedliście nas prawie do strasznej rozpacz;
Nie przez to, że noce zbiliśmy w torturach,
A dnie bez swobody w ciężkiej troski chmurach!
Bo cóż nam wygody? prawy synu zakonu
Dla siebie w zmartwieniach wyszukuje plonu,
Przed śmiercią, gdy trzeba, nie zadręga oczyma,
Bo on na tem świecie nic własnego niema.
Lecz wyście źródło czysty mętem waszej fali,
Czystą ludą wiarę w nas, w Boga, zkalali.
I płakał, jak matka, widząc sługa boży,
Że między synami zwątpienie się mnoży.*
A już organista, jakby do anioła
Z czyścowych męk dusza, do Jacka zawoła:
„Pokuty, pokuty, o! srogiej błagamy.
Niech cierpiem, jak owi, których przedstawiamy.*

A córka załkała, i serdecznie jękała,
 Że pierś jej dziewczęca omało nie pękła:
 „Ja, woła, chcę cierpieć sama, moja cała
 Wina, bom ich obu ciągle namawiała.”
 A Jonek stał niemy, oparł się o ścianę,
 I ręce opuścił na krzyż załamane.
 Jacek stał nad nimi, łzy jak gwiazdy ronił,
 On także zawinił, ale się nie bronił,
 Lecz do organisty: „Jam też winien, mówi,
 Że dałem się porwać mojemu gniewowi,
 Za srogom cię karał. Więc błagajmy nieba!
 Nam wszystkim śmiertelnym przebaczenia trzeba.
 Lecz precz z tych miejsc strasznych potępionych grzechem,
 Gdzie zgroza przebierze was za każdym echem,
 Chodźmy do kościoła, krzyżem upadajmy,
 I o przebaczenie majestat błagajmy.
 Lecz o! wiele pokut odprawiać musicie,
 Bo grzech bez pokuty pali całe życie.”
 „Pokuty, błagali, póki będziemy żyli,”
 Błagali jak gdyby o życie prosili.
 A więc poszli wszyscy czterej do kościoła.
 Pochodnia zagaska, ciemność do okoła,
 W milczeniu przychodzą do wspaniałej hali,
 Na środku się jedna lampa gwiazdą pali,
 I jasnym promieniem na krzyż złoty pada.
 Od chóru wysoka idzie kolumnada,
 A słupy się zdają anioły w żałobie,
 Jak w tedy, gdy strzegli Zbawiciela w grobie.
 I nieskończonego władcy wielka chwała
 Pokojem, harmonią ciszy panowała,
 Upadli na twarze i krzyżem leżeli,
 Na twardej kamiennej pokuty pościeli.
 Aż padł w szyby przełysk rannego promienia,
 I ciemność rozjasnił, jak znak przebaczenia.
 Ksiądz Jacek sam powstał, i im powstać każe,
 Postacie swe dobrze zaślониć i twarze.
 Sroższą jest pokuta, gdy nikt o niej niewie,
 Współczuciem nie ulży piekące zarzewie.

Zmartwieni braciszki całą noc nie spali,
 A Jacka nie było, do ranku czekali,
 Niema go, więc smutnie na mszę zadzwoniono,
 Smutne idzie fratrów i pobożnych grono,
 Przyszli do kościoła, znużeni, schyleni,
 Otrzeźwił umysły chłód mrocznych sklepieni,
 I patrzą! a Jacek już w konfessjonale,
 A przy nim trzej ludzie, a podobni wcale,
 Ebiorem do biesów, na posadzce leżą.
 Patrzą się ludzie, wierzą i nie wierzą.
 Ksiądz Jacek już powstał, zwrócony k' ludowi,
 Z twarzą jaśniejącą uroczystość mówi:
 „Wiedziecie, co się działo o północnej porze
 W naszym skromnym, Bogu oddanym klasztorze.
 Sam szatan to nie był, żli to ludzie byli,
 Co jemu za podłe narzędzie służyli,
 Małowierni w służbę zdali się szatana.
 Zamiast niebios—wzięli piekiel wiecznych pana!
 Lecz że obiecują pokutować szczerze,
 Bóg wszystko przezemnie w niepamięć im bierze.”
 Jacek gdy to mówił, nie był to ów sławny
 Frater starowina, usłużny, zabawny,
 Lecz blaskiem niebiany włos mu lśnił na skroni,

I łaskę Mojżesza zda się dzierzył w dłoni.
 „Przystąpcie więc do mnie.” W pokorze Łazarza
 Czołgają się grzeszni na stopnie ołtarza.
 Ksiądz Jacek wziął jasny, złoty krzyż do ręki,
 I dał po policzku znakiem bożej męki,
 „Precz, krzyknął, szatanie,” zakomunikował,
 I z ludem gromadnym hymn zaintonował:

Nie wódz nas panie na pokuszenie:
 Pękła nam wiary nić złota,
 Zadługiej nędzy okropne cienie
 Skryły nam ścieżki żywota.

Biada! jeżeli znękana dusza
 Pokusom czartów oddana!
 Lecz stokroć biada! temu, co zmusza,
 Wierzyć w potęgę szatana.

O! wlej w nas wiarę! gdy zeslesz męki,
 My je przyjmujemy od ciebie!
 Śmiertelne ciało choć wyda jęki.
 Duchem wytrwamy w potrzebie.

Hymn przebrzmiał przez hale aż do stwórcy świata,
 Lud, klasztor, braciszki żyli długie lata,
 A Bóg błogosławił wierne swe owieczki,
 Organista nigdy nie pijał wódeczki,
 Dla czego? nikt istnej prawdy nie wybadał.
 Aż schodząc w kraj miru wszystko sam wygadał.
 Lud często gawędę tę wiernym powtarza,
 Rozumie się zawsze, nie bez komentarza,
 A jak to zasłyszal, tak tutaj wam pisze,
 Co pó chrzcie mu Leszek, rodzą go Ubysze.

Potęga narodowa.

II.

(Dokończenie)

Zkąd atoli wzięło się to dziwo przemysłu? Odpowiadamy na to: Stworzył je wzrost nauki i oświata w klasach fabrycznych, intelligencja przemysłowa, przeniesienie umiejętności i jej wyników z pola teorii w praktykę życia. W Manszestrze założono pierwszą szkołę politechniczną, pierwszą szkołę realnych umiejętności. Tu się zebrały pierwsze towarzystwa wyrobników ku wzajemnemu nauczaniu się, pierwsze księgozbiory dla wypożyczania książek rzemieślnikom, powstały pierwsze zbiory modeli i wzorów, pierwsze szkoły niedzielne dla chłopców, pierwsze publiczne i popularne odczyty z fizyki i chemii w ich zastosowaniu do fabryk i rękodzieł; tu nasamprzód ustanowiono nagrody za najlepiej wyrobione zadania techniczne, towarzystwa do rozdania nagród i przemysłowe. I z tych to zakładów ku rozszerzeniu wiadomości industryjnych i uprawy żywiołów przemysłowych, a popartych rozsądnym duchem przedsiębiorczym, wzniósł się pod protekcją mądrego prawodawstwa ów ogrom rękodzieł, a Manszester był i jest w tym względzie od 70. lat wzorem. Nie mniej jak 13 milionów cetnarów towarów, wartujących 660 mi-

lionów zlr. (wszystko to wyrób Manszestru i okolicy jego) rozsyłanych zład bywa rokrocznie, a przez Londyn, Hull, Liverpool i inne miasta wznosi się obrót handlowy niezliczonemi kanałami po całej kuli ziemskiej. Nasze księżne i wieśniaczki, niewolnik puszcz afrykańskich i wolny Indyjanin na stepach Ameryki, Turek, Chińczyk, narody wszystkich stref i stopni oświaty i towarzystw, prawie każdy człowiek, kupując co ku potrzebie lub ozdobie, płaci haracz Manszestrowi i przykłada się mimo swojej wiedzy i woli do potęgi i bogactwa jego. Że piękny zajmujący obraz ten ma i odwrotną stronę; że w przepysznych pałacach bogatych dorobkiewiczów nic tak rzadko nie przebywa, jak wspaniałomyślność i prawdziwa cnota; że samolubstwo i łakomstwo w odrażających formach panu milionowemu, a nędza i rozpusta proletaryuszowi tutaj w życiu równie towarzyszą, jak i gdzie indziej; że pan i sługa, chlebodawca i zarobnik bardzo często ze sobą na stopie wojennej stoją, i potrzeba z jednej a nędza z drugiej strony do zawieszenia broni lub pokoju pośredniczyć muszą: są to fakta bardzo znane. Trzeba jednak przyznać, że obraz ten nie tak okropnie z bliska jak zdaleka się wydaje.

Obok rękodzieł bawełnianych kwitną tu także fabryki jedwabnych materij i maszyn olbrzymie warsztaty. Fabryki maszyn zatrudniają tu więcej niż 25,000 ludzi, którzy nad 600,000 cetnarów żelaza spotrzebują.

Do drukowania, farbowania, blichowania i gładzenia materij wystawiono tutaj zakłady z przyrządzeniami, jakie tylko tutaj możebne są i opłacić się mogą. Są n. p. blichy, które do wyrobienia chloru 100,000 cetnarów kwasu siarki i soli do roku potrzebują. Ale też nigdzie podział pracy nie jest tak wydoskonalony, jak w Manszestrze. I właśnie w tem sprężystem współdziałaniu wszelkich dźwigni przemysłowych, i w łatwości przewozu na kolejach żelaznych i kanałach do wszystkich portów Anglii, a zład morzem do najodleglejszych wybrzeżów ziemi, leży możliwość dla tamtejszego fabrykanta, na wszystkich targach świata, pomimo ceł, kosztów przewozu i t. d. jeszcze tanio a korzystnie zbywać towary swoje, i wszelką konkurencyę przytłumić.

Emil Souvestre.

Umarł właśnie w Monmerency sławny francuski pisarz Emil Souvestre. Wszystkie dzienniki i pisma francuskie zgadzają się w tem, iż był wybornym nowelistą, niezłym dramatykiem i najlepszym człowiekiem; skromnym, dobrym, stałym i szlachetnym. „Bez najmniejszego uszczerbku prawdy i sprawiedliwości, pisze p. J. Lecomte w feletonie *Independance*, można wyrzec o nim, że charakter jego tak był pięknym jak świetnym talent jego”. Także *Revue des deux Mondes* nazywa go mężem pocziwym i utalentowanym, pisarzem z przeświadczenia, który nie lubił poklasków i błahych pochlebstw, który sumiennie pracował i nie po-

trzebował się rumienić nad użytkiem, który robił z talentu swego i fantazyi. Emil Souvestre, urodzony roku 1806 w Morlaix, nie doszedł więc nawet lat 50 życia. Chociaż był przyjętym do grona adwokatów w Rennes, geniusz jego parł go jednakowo do Paryża, gdzie karierę swoją literacką rozpoczął dramatem we wierszach: *Le siège de Missolonghi*, natchnionym zupełnie ideami i ułudami owych czasów. Sztuka ta przyjęta do repertoaru teatru français nie przeszła przez cenzurę. Zniechęcony i okolicznościami przymuszony tułał się potem jako komisant, profesor, redaktor po różnych miastach Francyi, aż w roku 1836 dziełami swojemi *L'échelle des femmes* i *Les derniers Bretons*, rozkupionemi wnet w kilku wydaniach, sławę swoją jako literat utwierdził. Odtąd mu się otworzyło najświetniejsze pole sławy i powodzenia.

Z różnych dzieł jego najpiękniejszym może jest „filozof z poddasza”.

Akademja francuska przyznała autorowi tego dziełka: „*Un Philosophe sous les toits*” w nadgodę honorową, złoty medal w cenie 1500 fr. — I słusznie uznana jest jego wartość; gdyż można się z niego nauczyć, jak to żyć z zadowoleniem w każdym stanie, a nawet i w ubóstwie być szczęśliwym. Oto dajemy dla czytelników Nowin jeden ustęp, jeden szkic z tego dzieła, aby ich obznajomić z talentem autora. Zapewne że Francya posiada znamienitszych pisarzy ale uczciwszego co do dążności w pismach i w życiu podobno niema.

Niedziela 27. Maja 1849.

Miasta stołeczne, jak Paryż, mają coś szczególnego, że dnie spoczynku zdają się być hasłem okrzyku powszechnego: „Raduj się, kto może!” Jak ptaki, którym wolność jest wrócona, ludność miejska wybiega ze swoich klatek kamiennych i rozprasza się radośnie po polach. Byłe tylko wynaleść zielony trawnik, aby usiąść, cień krzaczka, aby swój namiot rozłożyć; tu zrywają stokrótki majowe, ówdzie biegają po polach, miasto jest zapomniane aż do wieczora, dokąd wracają z kapeluszem, uwieńczonym gałązką z głogu, i z sercem rozradowanem słodkim wspomnieniem. Nazajutrz czeka ich znowu jarzmo pracy.

Temi wycieczkami sielankowemi odznacza się szczególnie Paryż. Za nadejściem dni pięknych, urzędnicy, mieszczaństwo, rzemieślnicy oczekują niecierpliwie każdej niedzieli, aby zakosztować kilka godzin tego życia pasterskiego. Prawie dwie mil francuskich trzeba przebyć pomiędzy sklepami przedmiejskimi handlów winnych i korzeni, zanim się dostanie na otwarte, warzywem zasadzone pola. Ojcowie rodziny rozpoczynają praktyczną naukę, pokazując dzieciom swym zboże, które bynajmniej nie ma kształtu bułki i kapustę w stanie dzikim. Bóg wie, co za źródło obfite przypadek, wynalazków i wydarzeń! Któryż Paryżanin nie opiewałby swojej Odyssei, wybiegając za rogatkę miasta, i nie mógłby napisać epizodu do sławnej podróży *Idem i morzem z Paryża do St. Cloud*.

Nie będziemy tu mówić o tej ludności tłoczącej się wsząd, dla której nasz Babilon francuski jest tylko karawanserajem europejskim;*) o owej zgrai wynalazców, artystów, trudniących się różnymi wyrobami, wojażerów, którzy podobni bohaterom Homera przybyli do swej cywilizowanej ojczyzny, „zwiedziwszy wprzód wiele miast i narodów”; ale wspomnę tu o Paryżaninie zasiedziałym, zaokrąglonym w swoich wydatkach, żyjącym na swoim piątku, jak ów płaz na skale, — ciekawym zabytku ławowierności, powolności, dobroduszości z przeszłych wieków. —

Należy to do charakterystyki Paryża, że się tu łączy prawie dwadzieścia warstw ludności, zupełnie odrębnych co do charakteru i obyczajów. Obok włóczęgów, trudniących się to małym handlem, to przemysłem, żyje spokojne plemię kapitalistów i stałych wyrobników, których egzystencja podobną jest do kwadrantu zegarowego na którym ta sama skazówka sprowadza kolejnie te same godziny. Jeżeli żadne inne miasto nie przedstawia nam życia wystawniejszego, to też w żadnym innym nie znajdziesz ustronia tak ukrytego i swobodnego. Podobnie dzieje się w wielkich miastach jak i na morzu: burza mąci tylko jego powierzchnię. Im głębiej zaś wstępujesz do jego wnętrza, znajdziesz tam krainę, dla której wszelki ruch i odmet staje się niedostępnym.

Co do mnie osiadłem na krańcu tej krainy, niezamieszkując jej prawdziwie. Umieszczony poza obrębem wrzawy publicznej, żyłem odosobniony w moim ustroniu, nie mogąc jednakże odwrócić myśli mej od walki. Śledziłem zdala wszystkie jej wypadki, z zadowoleniem lub z obawą; byłem uczestnikiem tryumfu lub obrzędu pogrzebowego, podobnie temu, który spogląda i zastanawia się, nie będąc wtajemniczonym — jedyny środek nie brania udziału! Jedną tylko niewiadomość czyni nas obcymi życiu zewnętrznemu; samolubstwo nawet nie wystarcza na to.

Te uwagi, które czyniłem sam sobie, w moim poddażu, były przerywane wszystkimi temi „czynnościami domowymi” którym poddać się jest zmuszony stary kawaler nie mający innego sługi, jak tylko swą dobrą wolę. Prowadząc dalej moje rozumowania, czyściłem sobie bity, otrzępałem moją suknię, uwiązałem krawatę i — przyszedłem nareszcie do tej uroczystej chwili, kiedy się człowiek po ukończeniu swej toalety zapytuje, podobnie jak stwórca po stworzeniu świata: „a teraz czy już dobrze?”

Wielkie postanowienie wytrąciło mię ze zwykłego toru życia dniami wprzód. Wyczytałem z afiszów, że dziś w Sèvres obchodzą odpust, i że fabryka porcelany otwartą będzie dla publiczności. Tego samego poranku, wypogodzone niebo natchnęło mię myślą aby tam pójść. (D. c. n.)

*) *Caravansérail* (Karawanseraj): Gospoda dla podróżujących na Wschód.

Rozmałość.

* **Czerniowce**, dnia 28go lipca. Ciągąc dalej wiadomości o teatrze polskim w Czerniowcach, przychodzi kolej na „Starą Romantyczkę,” komedię Stanisława Bogusławskiego, przedstawioną dnia 17go lipca b. m. Zdaniem naszym należy ona do lepszych komedij polskich; jest trafnym obrazem owych prześcigłych kobiet, które spełnione wdzięki starają się nagrodzić przesadzoną czułością, rozpytywaniem się nad pięknosćmi natury, blaskiem księżyca, szmeraniem strumyka, śpiewaniem słowika, powiewem zefirków i t. p. dalej romantycznością sztuczną i przesadzoną, oklepaniami frazesami, westchnieniami i t. p. i tem mniemają złapać w sidła dobrodusznym młodzików. Tą razą zaś Aldonie podobne experimenty się nie udało. Młody Wacław udawał czułego kochanka w tym jedynie celu, aby od rozmarzonej miłością i przepełnionej wdzięcznością Aldony wydłuzić zezwolenie na związek małżeński przyjaciela swego Alfreda z piękną jej siostrzenicą, a otrzymawszy one, wysliznął się jak piskorz z czułego objęcia spragnionej kobiety i zwrócił jej serce ku baronowi, staremu umizgusowi, od którego tylko na widok młodego Wacława była się odwróciła. Panna Grochowska jako Aldona przejęła się całkiem swą rolą, i oddała ją trafnie bez przesady i wymuszenia. Pan Kaliciński w roli Wacława nie zbyt jasno okazał, że oświadczenia miłości ku starej romantycznej są udaniem, i z większą niż potrzeba szczerością odegrał rolę kochanka, że zdawało się prawie jakoby był nim w istocie a przecież rozromansowaną, przesiekniętą czułością, spragnioną kobietę łatwo było podbić mniejszem nawet wyteżeniem namiętności, mniejszem udaniem szczerości, tak iżby słuchacze nie konieczniedopiero ze słów „na stronie” wyrzeczonych o symulacji się przekonywali. Przeto zdaniem naszym więcej sentymentalnie niż komicznie odegrał swą rolę. Podobał się wszelako deklamacją dobrą i żywą, która w dramacie byłaby wysoce ceniona. Pan Linkowski przedstawił wiernie starego umizgusa, chcącego konieczniedopiero uchodzić za młodzika, licząc się ciągle do niedoświadczonej młodzieży. Równie podobała się pani Linkowska jako Różia gardrobiana, oddając swą naiwną rolę, jak wszystkie podobne, z prawdą i znajomością roli.

„Berek zapieczętowany” tegoż samego dnia przedstawiony, już dawniej kilkakrotnie przez samego autora p. Ładnowskiego był tu odgrywany. Jest to zbiór śpiewek satyrycznych przeplatanych monologami i podrygami żydowskimi. Dobre udanie mowy żydowsko-polskiej, śpiew czysty, gestykulacja i płasy trafne byłyby całą zalecą tej krotchwili. Pan Ładnowski mimo niedostatecznego głosu do śpiewu, wiernem oddaniem mowy, manier i płasów żydowskich zwykłe szumne odbierał oklaski; zaś pan Naturski, który tą razą przedstawiał Berka, przy tym samym braku głosu z daleka mniejszą wiernością udawał żydka polskiego, nadto w miejscu, gdzie Berek marzy o pannie Dorocie, zupełnie niepodołał roli.

Dnia 18. lipca dawano komedię: „Lwy i Lwice;” 19go dramat „Dymitr i Marya,” o których jako nieobecny na tych przedstawieniach nie nie piszę.

Dnia 20. lipca: „Chłopi arystokraci,” krotchwila ze śpiewami i komedią: „Kto się kocha, ten się kłóci.” Krotchwila nie była odegrana tak, aby nie zostało nic do życzenia; owszem życzyć wypadało, aby pomiędzy grającymi osobami choć jedna się znalazła, któraby posiadała głos usposobiony do śpiewu; lecz ani jednej nie było; więc śpiewki się nie udało, mimo to pan Linkowski w roli „Stefanka forysia,” był w swoim żywiole i podobał się. Komedią: „Kto się kocha ten się kłóci,” nie odpowiada wprawdzie ze względu artystycznego wymaganiom sztuki, gdyż zawiązanie i rozwiązanie nie leży w okolicznościach, lecz w usposobieniu wewnętrznym działających osób; wszelako dla kilku wybitnie komicznych scen, może się podobać i tą razą podobała się. I w tej komedii państwo Linkowscy zadowolnili publiczność; nawet pani Krzyżanowska więcej życia oka-

zała w swej roli, niżeli w innych. Nie będę wam treści tej komedyi powtarzać, bo ją niezawodnie znacie, zresztą nie wiele byłoby powtarzać, bo jest bardzo pojedyncza, i tylko przez dobre granie aktorów nabiera powabu.

Dnia 21. grano „Walkę kobiet,” komedję w trzech aktach z francuskiego. Tytuł wcale nie stosowny, bo ani z dwóch działających tam kobiet jedna przeciw drugiej walczyła, ani obie razem walczyły przeciw komu trzeciemu. Henryk de Flavigneul, młody royalista poświadczony za panowania Łupwika XVIII. o Bonapartyzm, ścigany przez władze znalazł schronienie w zamku hrabiny d'Autreval, roztropnej 33letniej wdowy, u której właśnie bawiła jej siostrzenica Eleonora de Vilgontier. Jak na nieszczęście obie kobiety zakochały się w przesładowanym Henryku. Lubo tenże uchodził w zamku za lokaja hrabiny, jednakowo prefekt departamentu baron de Montrichard wyszedł z jego miejsce polytu, i obstawiając zamek dragonami, wszedł do niego w celu wyszukania zbiega.

Tu rozwinęła hrabina całą swą roztropność posilkową swiężą miłością, aby udaremnić usiłowania prefekta; i toż właśnie stanowi walkę hrabiny przeciw prefektowi, prowadzoną z wielką przeczornością ze stron obu. Przeciwnie panna Eleonora, w chęci ratowania kochanka, niemogąc w przytomności prefekta ukryć swej miłości, mimowolnie psuła budowę ciotki i przymuszała ją do ciągłej naprawy i budowania nowych planów. W ostatku zwyciężyła hrabina; a przekonawszy się, że miłosne oświadczenia Henryka były tylko powodowane wdzięcznością, że przeciwnie miłością prawdziwą tylko ku Eleonorze pała, robi ofiarę ze swej miłości i łączy siostrzenicę z jej kochankiem. Oto treść tej nudnej komedyi. Panna Grochowska wybornie odegrała rolę hrabiny i utwierdziła nas w zdaniu, że do ról statecznych, imponujących kobiet, nawet z wyższego towarzystwa, ma talent niezaprzeczony, zdolny dalszego postępu.

* Wydawanie obligacyj indemnizacyjnych na 10letnią zaliczkę już się rozpoczęło, rząd widać, z jaką gorliwością cała ta sprawa jest prowadzona. JW. Prezydent komisji indemnizacyjnej, p. Kalchberg wyjechał we środę na objazdżkę po kraju, aby wszędzie na miejscu przejrzeć czynności rozestanych po kraju komisji, zachodzące trudności i wątpliwości rozstrzygać i na jak najprędze i najbardziej uproszczone działania tych komisji wpłynąć. W zastępstwie jego, komisji głównej we Lwowie przewodniczy jw. Radca namiestnictwa pan Marle. Od czasu objęcia przez JW. Prezydenta steru tej komisji rozwija ona czynność niezmordowaną, przytem uprzejmość wszystkich członków i urzędników komisji przy tak częstem zetknięciu się z osobami prywatnymi, potrzebującymi informacji, zasługuje na zaszczytne wspomnienie.

* Dziennika literackiego wyszedł Nr. 29 i 30ty. Numer 29. zawiera: 1) Czego nam potrzeba? II., ciąg dalszy o stowarzyszeniu historycznym. 2) Treść historyi języka rosyjskiego. 4) Bojar Orsza (ciąg dalszy). 4) Wincenty Kruszewski (ciąg dalszy). 5) Bambus i jego pisma, przez St. Przyłęckiego. 6) Estetyka Libelta. 7) Literatura obca.

Numer 30. zawiera: 1) Czy Miorsz jest pisarzem XI. czy XIII. wieku, przez Karola Szajnochę. 2) Treść historyi języka rosyjskiego (ciąg dalszy). 3) Bojar Orsza (ciąg dalszy). 4) Wincenty Kruszewski (ciąg dalszy). 5) Bambus i jego pisma. 6) Estetyka Libelta (dokończenie). 7) Korespondencya z Krakowa. O pisarzach w Krakowie żyjących.

* Do dzisiejszego numeru dołącza się dla prenumeratorów mój, mody ubioru. Opis w następującym numerze.

Przyjechali od dnia 2. do 3. sierpnia do Lwowa:

PP. Gołimentowicz Aleksander, z Toczowa. Jarosławski Gorgoniusz, z Postomył. Chwalibóg Jan, z Lipowca. Czacki Aleksander,

hr. z Krechowa. Smolski Józef, z Kobylnicy. Lanckoroński Kazimierz, hr. z Krakowa. Drużbacki Franciszek, z Przemyśla. Siemianowski Franciszek, ze Siemiginowa.

PP. Kęplisz Antoni, z Bóbrki. Duniewicz Edward, z Nowoszyce. Korytowski Erazm, z Płotycza. Skarbek Władysław, hr. z Tarnopola. Link Franciszek, z Komarna. Starzeński August, hr. z Krzywca. Krzeczunowicz Kornel, z Brzeżan. Golejowski Kornel, hr. z Krzywca. Łoś August, hr. z Werchrata. Torosiewicz Maurycy, z Ostrowa. Wierzbicki Julian, z Kutkorza.

Wyjechali od dnia 2. do 3. sierpnia ze Lwowa:

PP. Postępski Feliks, do Trembowli. Lewicki Józef, do Bonowa. Kalchberg Józef, do Derewacza.

PP. Bocheński Jan, do Lubienia. Soniewicz Julian, do Podhorzec.

Lwów 4. sierpnia. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 26 złr. — kr. do 27 złr. 30 kr. — Żyta po 19 złr. — kr. do 21 złr. 45 kr. Jęczmienia po 17 złr. — kr. do 18 złr. — kr. Owsa po 17 złr. 30 kr. do 19 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 8 złr. — do 8 złr. 45 kr. Sąg drzewa bukowego 24 złr. 30 kr. do — złr. Sosnowego po 21 złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 6 kr. do 2 złr. 8. kr. Centnar słomy 1 złr. 30 kr. do 1 złr. 45. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 2 Złr. 7 kr. m. k.

Kurs telegrafowany z Wiednia 4. b. m. o 2 g. popołud.

Amszterdam	—	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	125	Medyolan za 300 lirów	147 1/2.
Bukareszt	221	Paryż za 300 franków	146 1/2.
Frankfurt za 120 złr. podług		Agio duk. ces.	—
24 1/2 stopy	124 1/2.	Srebra agio	25
Genewa	—	Pożyczka 5% 83 3/4. 4 1/2. 73 1/2.	
Hamburg za 100 tal. banco. 92 3/4.		Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcyje banku	—
Liworno	119	Kolej północna	—
Londyn za 1 funtsterl. 12. 14.		Obl. ind.	5%.

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówka	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 47	złr. 5 kr. 52.	
Dukat cesarski	5 „ 53	5 „ 6	
Półimperyal złr. rosyjski	10 „ 5	10 „ 10.	
Rubel srebrny rosyjski	1 „ 56	1 „ 57.	
Talar pruski	1 „ 51	1 „ 54	
Polski kurant i pięciogotówka	1 „ 25	1 „ 26.	
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	92 „ 36	92 „ 50.	

Handel Ant. Schicka Wdowy

we Lwowie przy ulicy dykasteryjalnej
otrzymał właśnie świeży transport

Vinaigre aromatique

de Jean Vincent Bully à Paris

na wielkiej wystawie Londyńskiej nagrodą uwieńczony, a teraz coraz więcej poszukiwany. Służy jako środek do rozwinięcia i zachowania wdzięków, wzmacnia skórę, dodaje jej naturalnej świeżości i delikatności, usmierza pieczenie skóry po goleniu. Damom przy toalecie niezbędny, a dla swych własności higienicznych do płukania ust przy kąpeli, i jako kadzidło bardzo używany i lubiony.

flakonik 1 Złr. 30 kr. m. k.

Najnowsze i najprzyjemniejsze pachnidło:

Essence concentrée de Violette,

(119)

flakonik po 2 Złr. 30 kr. m. k.

(3—3)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni E. Winiarza.